– Istnieje niebezpieczeństwo, że rola pozostawi ślad na całe życie – **mówi Barbara Krafftówna, aktorka**

Kabaret starszej pani

FOT. BLICK

■ Piotr K. Piotrowski: Możemy panią oglądać w nowym serialu „Więzy krwi". Co miało największy wpływ na to, że przyjęła pani rolę babci Wiktorii?

Barbara Krafftówna: – Znakomity scenariusz. To się bardzo dobrze czytało. Mam nadzieję, że język scenariusza, przełożony na aktorskie działania, jeszcze dorzuci tych walorów. Gram, jak już pan wspomniał, babcię Wiktorię, która silną ręką trzyma wszystkie rodowe sprawy. Po raz pierwszy nie udało mi się wcześniej obejrzeć nakręconego materiału. Tak więc jestem surowym widzem, który – mam nadzieję, że z wieloma innymi – śledzi kolejne odcinki „Więzów krwi".

■ To kolejny – po „Banku nie z tej ziemi" – polski serial z pani udziałem, od momentu, kiedy w 1983 roku wyemigrowała pani z Polski...

– Ja nie wyemigrowałam! Przyjęłam propozycję zagrania w Los Angeles tytułowej roli w „Matce" Witkacego. Stąd ten wyjazd. Nie znałam wówczas języka i nauczyłam się roli fonetycznie, więc to był mój olimpijski skok i eksperyment. Nie miało to nic wspólnego z emigracją. Wyjechałam jako wolny człowiek. Dzieci były już odchowane... Mówię, dzieci, gdyż mój syn został ojcem, więc mam również wnuka. W tej sytuacji moje życie jest podporządkowane pracy. Jestem wszędzie tam, gdzie czeka na mnie jakaś ciekawa propozycja.

■ W jaki sposób złożono pani tak poważną ofertę w Stanach?

– Dotarło do nich, że w Polsce byłam uważana za modelową aktorkę witkacowską, jak również gombrowiczowską. A trzeba wiedzieć, że w kręgach zagranicznej inteligencji zainteresowanie tymi dwoma pisarzami wciąż rośnie. Mimo wszystko propozycja zagrania w Stanach wydała mi się wręcz abstrakcyjna. Myślałam nawet, że to jakiś głupi żart...

■ Jak dla pani zakończył się ten amerykański eksperyment w sensie artystycznym i w jaki sposób wpłynął na dalsze życie?

– Było to na pewno udane przedsięwzięcie, na którym ja również bardzo skorzystałam. Szczególnie zaimponowało mi zaangażowanie tamtego zespołu i ta energia, która również mnie się udzielała. Później wyszłam za mąż. Miałam różnorakie plany, ale nigdy nie zamierzałam zerwać kontaktu ze sceną. Dość szybko wszystko się przewaliło, jako że owdowiałam. Zaczął się jakby inny etap mojego życia, jednak nie zerwałam z zawodem. Od początku miałam kontakt z uczelniami i studentami. Oczywiście rozpoczęłam bardzo intensywną naukę języka i po jakimś czasie, kiedy w miarę opanowałam umiejętność porozumiewania się, jakaż była ulga, kiedy dostałam kolejną propozycję zagrania w teatrze. To już była zupełnie inna praca.

■ W Polsce, w sensie artystycznym, osiągnęła pani chyba wszystko, poza majątkiem...

– Bardzo ładnie powiedziane. Tak jest!

■ Uczestniczyła pani we wszystkich najważniejszych wydarzeniach, realizacjach i zjawiskach w historii powojennej Polski. Którą z wielu znakomitych ról uznaje pani za przełomową w swojej karierze?

– Nie chciałabym mieć przełomów i nie miałam. Bo co by to miało oznaczać? Że zagrałam raz i tak się wyprztykałam, że dalej nic? Bałabym się takich przełomów czy zwrotów. Uważam, że właściwszy jest rozwój. U niektórych ten rozwój odbywa się stopniowo, u innych gwałtownie – ktoś nagle rozkwita, jak piękny kwiat. Takie przypadki też pamiętam. Piotr Fronczewski był młodym, zdolnym, wspaniałym aktorem. Ale nagle przyszła rola i urodził się drugi Piotruś. Jednak to nie był zwrot, ale skok, otwarcie. To było w „Królu Jeleniu" wystawianym w Teatrze Współczesnym. Na pewno są jakieś okresy, które pozostawiają ślad, ale nie mogą go pozostawiać na zbyt długo, bo wówczas nie mogłoby się nic narodzić. Natomiast w naszym zawodzie istnieje niebezpieczeństwo, że rola pozostawia ślad na całe życie. Pozostaje jakaś maniera. W taką pułapkę wpadł cudowny aktor Jan Świderski po „Romulusie Wielkim", z którego pewne grymasy przenosił do innych ról. Walczył z tym oczywiście, ale bezskutecznie.

■ Innym niebezpieczeństwem dla aktora jest jego zaszufladkowanie. Pani udało się tego uniknąć w sposób perfekcyjny.

– Tak, moja publiczność dzieli się bowiem na tych, którzy uważają, że jestem zdecydowanie aktorką komediową, a inni twierdzą z całym przekonaniem, że jestem klasyczną tragiczką.

■ Najciekawsze chyba jest to, że wszyscy mają rację. Oczywiście wielu widzów zapamiętało panią z „Kabaretu Starszych Panów" i takich piosenek, jak „Przeklnę cię".

– To są najcudowniejsze formy, jakie można sobie wyobrazić. Jakaż radość dla słuchacza czy dla widza. Jakie to ma wartości! Myślę, że to jest ciągle aktualne i wciąż to się bardzo dobrze odbiera. Tu jest niezwykła zagadka. Po Kabarecie Starszych Panów powstała próżnia. Ze zdumieniem zauważam, że nie znaleźli się naśladowcy.

■ Zagrała pani również w telewizyjnym przeboju wszech czasów. Dziś aktorzy mówią bardzo niechętnie o swoim udziale w serialu „Czterej pancerni i pies". Czy pani dystansuje się od roli Honoraty?

– Grałam w tym i nie widzę powodu do dystansowania się. W tym serialu wystąpili znakomici aktorzy, był to dobrze napisany scenariusz i do dziś „Czterech pancernych" ogląda się jako znakomity film przygodowy. A przy tym moja rola i Gustlika były wspaniale napisane! Już jak się to czytało, to wiadomo było, że – jak my to mówimy – jest to samo mięso. ●